



Dzieciństwo z ojcem pijakiem i przestępcą, rozwalone związki i porażki finansowe – Andrzej Cichocki przeszedł tyle, że dla więźniów jest wiarygodny.

Zbrodnia IWIARA

AGNIESZKA LITOROWICZ-SIEGERT

Miał to, o czym marzy większość z nas: świetną pracę, pieniądze, prestiż. Zrezygnował ze wszystkiego.

Mówili, że zwariował, a on porzucił karierę i poszedł opowiadać ludziom o Bogu. Wybrał miejsce specjalne – więzienie. Hollywoodzki scenariusz? Nie.

Prawdziwa historia Andrzeja Cichockiego. Człowieka, przy którym płaczą najwięksi twardziele.

Twój STYL: Był pan królem życia?

Andrzej Cichocki: Nawet tak o sobie mówiłem. W pewnym momencie nazywałem siebie mistrzem świata, panem życia. Sądziłem, że jestem szczęściarzem.

TS: To się pokrywało z prawdą?

AC: Nie. Dlatego zmieniłem drogę.

TS: Chciałabym wyobrazić sobie pana w momencie tej decyzji...

AC: Elegancki menedżer w średnim wieku. Ostro tyrałem w korporacjach i w końcu stałem się facetem ze swoich dziecięcych wyobrażeń. Miałem drogie garnitury i zegarek, dobry samochód i własną asystentkę.

TS: Jaki był chłopiec, który marzył o takim statusie?

AC: Niezbyt szczęśliwy. Z dzieciństwa pamiętam tylko dwa dobre lata. Te, kiedy mój ojciec miał wszyty esperal i nie pił. Po alkoholu robił się agresywny. Mama zabierała siostrę i mnie, uciekaliśmy z domu do babci albo do sąsiadów. Ojciec jest kluczową postacią w tej opowieści, choć nie był dla mnie autorytetem. A ja jako chłopak szukałem autorytetu i kogoś, kto mnie doceni. Chciałem na przykład pochwalić się tacie medalami. Trenowałem wielobój, w szóstej klasie miałem trzeci wynik w Polsce.

Ale ojciec tego nie zauważył. Po podstawówce zdałem egzaminy do technikum we Włocławku, zacząłem grać w koszykówkę – to też przeszło bez echa. W szkole średniej zacząłem się taty zwyczajnie wstydić. Rodzice rozwiedli się, ale się bałem: może on wyjdzie na przepustkę, przyjedzie pijany i będzie mnie szukał...

TS: Pana ojciec siedział w więzieniu?

AC: Tak. Kiedy zacząłem studiować prawo na Uniwersytecie Gdańskim, na drugim roku dostałem list z więzienia, w którym ojciec pisał, że potrzebuje mojej pomocy w zdobyciu pewnych dokumentów. Podał mi adres, miałem pojechać do Brodnicy. Znalazłem dom, zadzwoniłem, wyszła jakaś kobieta. Przedstawiłem się, a ona powiedziała: „Więc jest pan synem tego człowieka, który zamordował pana Czesława”. Wtedy się dowiedziałem, że ojciec zabił. Najpierw byłem wściekły, potem próbowałem wyrzucić go ze swojego życia, pamięci. Zająłem się robeniem kariery.

TS: Prawniczej?

AC: Nie. Odpuściłem sobie aplikację sędziowską, postanowiłem, że będę przedstawicielem handlowym. Jako sportowiec miałem proste podejście: żeby coś osiągnąć, muszę zasuwać na maksa. I tak robiłem. Po dwóch latach

zostałem dyrektorem w firmie produkującej meble w Rypinie, gdzie mieszkaliśmy. Wkrótce dyrektorem generalnym. Miałem 28 lat, złotą kartę kredytową. I wtedy odbiła mi „kolba”. Pomyślałem: mogę brać z życia garściami wszystko. Miałem już żonę i syna, ale wdałem się w romans. Małżeństwo się rozpadło, jednak dalej parłem do przodu. Zostałem dyrektorem w firmie w Pułtusku. I tu nastąpił pierwszy kryzys. Wpadłem w tarapaty finansowe.

TS: Stracił pan pracę?

AC: Nie od razu. Brałem kredyty. W domu zaciąganie długów było normalne – mama brała pożyczki, żebyśmy mogli przeżyć do pierwszego. A do mnie banki się pchały, przecież świetnie zarabiałem. Tylko że w końcu pracę straciłem, a długi zostały. Z takim bagażem wylądowałem w Warszawie. Na ulicy pod Domami Centrum łapałem potencjalnych klientów jako agent ubezpieczeniowy. Moją motywacją był syn Michał. Chciałem, żeby był ze mnie dumny. Inni sprzedawali po dwie polisy miesięcznie, ja – 12. Mówili do mnie: frajer, po co ci to. Ale oni po dwóch latach byli w tym samym miejscu, a ja zostałem dyrektorem regionalnym. Znowu kosztem życia osobistego. Wiązałem się z kobietami i rozstawałem. Relacje miały małe znaczenie.

